

LUEGER W KOŁOMYI.

Opowieść wesoła, „zaczepnięta” ze [stosunków galicyjskich

przez

Grzegorza Smolskiego.

2

(Ciąg dalszy).

Simche Goldstückel pozostał stałym w postanowieniu, odpierając, że dr. Turteltaub, chociaż „udaje Polaka” i dla interesu „nosi się po niemiecku”, jest w oczach jego tak dobrym żydem, jak dr. Floch z pejsami i w kaftanie. Goldstückel nie wiedział, że rabin w Stadlau nosił się równie „po niemiecku”, inaczej zaraz z miejsca byłby mu stołek przystawił u kahału.

Jedno tylko niepokoiło go. Będąc z zawodu krawcem, posiadał skład gotowych ubiorów żydowskich, czapek, kapeluszy, jarmułek, talesów i t. d. Rozgniewany kahał na niego, mógł mu przez odstręczenie odbiorców wyrządzić szkodę w interesie. Radny gminny i członek zarządu kahalnego, Salomon Silberfisch, właśnie otworzył interes konkurencyjny. Cóż robić? Strata prawie pewna, jednak nikt nie wobec zarobku przy wyborach. Da on sobie jakoś i z nią radę. Niedługo przyjdą wybory do rady gminnej. Kahał będzie go potrzebował, więc wszystko się naprawi odrazu.

Mamy jeszcze dziewięciu kandydatów, stojących poza nawiasem — wielkiej szansy. Przedstawiają oni wszelkie możliwe i niemożliwe stronnictwa, kraj trapiące. W mieście dzielono ich na dwie kategorie: na kandydatów korzennego sklepu Korpacza czyli tak zwanych „kwartalników” i na „radykałów-samopasów”. Do „kwartalników” zaliczano pp.: Henryka barona Seydla, prezydenta „kwartalnicy”, byłego obywatela ziemskiego i byłego porucznika przy dragonach, obecnie rezydenta brukowego bez zajęcia, zawodu i barwy politycznej, „stojącego”, jak sam się określał, ponad stronnictwami; Spiridyona Hawryłowicza Czernohusa, właściciela realności miejskiej, starorusina; Jana Dąbczaka, adjunkta sądowego, polskiego ludowca; Salezego Oleśnickiego, radcę sądowego w stanie spoczynku, stronnika „polskiej katolickiej demokracji” i Gniewomira Znicza, byłego profesora gimnazjalnego, wyznawcę wzajemności katolicko-słowiańskiej. Kandydaci ci, mimo ogromnej różnicy przekonań i programów, byli stałymi gośćmi „śniadaniowego pokoju” w sklepie pana Kajetana Korpacza, skupiając się licznie, a zgodnie przy „lampce” węgryna, gdzie wśród żywych rozpraw, obejmujących wszystkie dziedziny świata, śniadania przeciągały się nieraz do nocy, a wieczornice do białego dnia. Przy kieliszku i „przekąsce” płynął czas chyżo i wesoło. Dopiero gdy rozprawa przechodziła na sprawy publiczne, krajowe, na dziedziny polityki, ujawniały się sprzeczności przekonań wielorako, swada rosła, umysły zagrzewały się, przychodziło do starć i zwady i Bóg wie do czego by nie przyszło, gdyby genialny pomysł br. Seydla nie był stworzył skarbonki, zostającej pod energicznym zarządem właściciela sklepu korzennego, do której każdy za użycie dosadniejszego wyrazu, mogącego obrazić kogokolwiek z towarzystwa, obowiązany był za karę wrzucić koronę, a czyn ten oznaczał zarazem przeproszenie obrażonego. Przeciwno orzeczeniu prezydenta br. Seydla nie było apelacji. Skazany na grzywnę musiał, jak mówił skarbnik Korpacz, „w sieć czas sięgnąć do kabzy”. To postanowienie zapewniało towarzystwu dobrą komitowę, „ekspjowany”, nie był w stanie zakłócić, lub nadwreżyć harmonii. Co ćwierćrocznie otwierano skarbonkę uroczystie i obliczano jej zawartość, która następnie szła na wspólną wielką pijatykę, zwaną „kwartalnicą”, która stałym gościom „pokoju śniadaniowego” nadała miano „kwartalników”. W skarbonce bywało po sto i więcej jeszcze koron, z czego wynika, że z silnym tenorem zapału broniono swoich przekonań u Korpacza.

„Kwartalnica” powiła też powyższych pięciu kandydatów.

Nie dziw. Wszak tworzyła akademię dla krasomowstwa. Na zebraniach nie obeszło się nigdy bez mówek o tem, lub o owem. Mówiono o wszystkim, co się działo na świecie, w mieście, w kraju, a nawet po domach. Bywały rozprawy polityczne, narodowe, społeczne, gospodarcze i wszechnaukowe. Każda dziedzina posiadała swojego zawodowca, specjalistę.

Pan aptekarz Szypała, choć był poetą zawołanym, poruszał sprawy astronomiczne i zwykle

wywiązywała się bardzo ciekawa dysputa pomiędzy nim a panem kontrolorem pocztowym, „bitym” w tej dyscyplinie. Radca skarbowy Korba rozwijał znowu poglądy historyzoficzne, z którymi nie zawsze zgadzał się adwokat dr. Zipfel. Specjalistą ekonomicznym był pan Jan Telembasowicz, właściciel pablikskich Kedaniec i „szybów” naftowych, chociaż rzucał pieniędzmi pełną garścią na wsze strony, zwany pieśczołliwie „Jasiem”. Pan notaryusz znał się wyśmienicie na sztukach pięknych, rewident Przekrusa, również poeta, na piśmiennictwie, inni znali się znowu na czym innym, lecz wielu było takich, którzy, znając się na wszystkim, o wszystkim rozprawiali z równą znajomością rzeczy.

Do rzędu ostatnich należeli poborca podatkowy Dusimiech, kandydat Dąbczak, urzędnik kolejowy Namentowski. Ostatni zawsze wiedział wszystko lepiej, niż ktokolwiek inny.

Prawie rzeczą rozumiejącą się samo przez się jest, że z towarzystwa, przedstawiającego taką sumę inteligencji i wiedzy, wyłoniły się kandydatury poselskie.

Stało się to formalnie na wniosek br. Seydla, który niedawno temu odezwał się na wieczornicy tygodniowej w te pamiętne słowa:

— Szanowne i czcigodne zgromadzenie! Nie w krotoczwilnej, lecz bardzo poważnej sprawie stosuję, przezacni panowie, te słowa do was... Hm... hm... Mości panowie! Wchodzimy w ważny okres wyborów... miasto winno dorósć sytuacji... hm... hm... Jam praktyk życia, który z niejednego pieca jadł chleb... uczyłem się wciąż żyjąc dopokąd hm... hm... starczyło środków. Potem, mili druhowie, osiadłem między wami, zrosłem się z naszym miastem, którego dobro wspólnym naszym ideałem. Mości panowie! Zbiorową siłą, nie chwalać się bynajmniej, zdziałaliśmy ogromnie dużo... hm... hm... wznieśliśmy duchową twierdzę, kwartalnicę; latarnię morską dla okrętów pływających po wzburzonych falach morza krajowego... Wybory, mości panowie, przed progiem kwartalnicy. Miałaby ona pozostać gnuśną?

Głosy: nie — nie!

— Otóż zaiste, mości panowie, nie wolno jej chować światła pod korzec. Coby to był za patryotyzm! Hm... hm... Stojąc ponad stronnictwami, chodzi mi przede wszystkim o sprawiedliwość, każde zdanie, każde przekonanie, każdy program bez różnicy dobry i powinien znaleźć przy wyborach wyraz. Mości panowie! Kwartalnica jest gniazdem różnych programów. Tuła się one około niej jako około matki ptaszyny. Mości panowie! Niech pisklęta dla dobra kraju wylecą z gniazdzka, niech kandydują. Przezacni współobywatele! Nam nie chodzi o głosy, tylko o zmanifestowanie swoich przekonań, swoich programów. Powiem krótko: zgłaszajcie swe kandydatury czyja łaska i wola.

Burza oklasków długo nie mogła się uciszyć. Odrazu wyłoniło się aż pięć kandydatur kwartalniczych. Pp. Czernokus, Oleśnicki, Znicz i Dąbczak zgłosili się sami na ochotnika, zaś br. Seydla obwołało zgromadzenie jednogłośnie, co go nie mało rozczuliło i spowodowało do „fundy” kilku litrów „erlaunera”. Wśród ogólnego zapału, wychyliwszy duszkiem duży „cześciwy” puhar za zdrowie kwartalników, dziękował „druhom” najserdeczniej:

— Jakem żołnierz, jakem szlachcic polski, wasz jestem duszą i ciałem. Zawstydzacie mnie jedno myślnością zaufania. Mości panowie!... hm... hm... Poeta, nazwisko jego wypadło mi z pamięci — mniejsza o to — otóż poeta powiedział, że tylko drab jest skromny. Otóż w rodzinie Seydlów drabów nie było i Bóg da, nie będzie. Przyjmuje ofiarowaną mi kandydaturę nie dla swej osoby, lecz dla swoich zasad i przekonań, dla swego programu politycznego: stania ponad stronnictwami. Dzięki, mili druhowie! Kończę tem, że nam nie chodzi bynajmniej o głosy, lecz o zasady, o równoprawienie wszelkich przekonań. Dzięki, dzięki!...

Pan aptekarz replikował na to wiazaną mową, stwierdzając, iż kwartalnica postawiła kandydatów tylko „pour le drapeau de l'honneur”, jak się wyraził.

Liczbę dwunastu dopełniali czterej kandydaci skrajni, mianowicie: wszechpolak Wilibald Nadymalski, suplent gimnazjalny; Bohdan Koszowy, „ukrainiec”, redaktor „Gonty”; socyalista Izidor Krikalis, urzędnik kasy chorych i syonista dr. Makabeusz Tałkes, koncypient adwokacki.

Mówiąc słowa pana aptekarza, byli i to kandydaci „pour le drapeau de l'honneur”, gdyż żaden z nich nie posiadał szans wyboru.

II.

Pankracy Niesamowity, redaktor „Kukułki Pokuckiej”, główny kierownik agitacji za hr. Młodzieńskim, podskoczył z radości do góry, dowiedziawszy się, że niebezpieczny Simche Goldstückel odpadł od kahału, a przeszedł na stronę hr. Turteltauba. Wpływało to znacznie na korzyść hrabiego. gdyż można było liczyć na pewne, że Goldstückel pozyska dla dr. Turteltauba, który zresztą posiadał nadzwyczaj małe szanse, pewną liczbę głosów żydowskich, które inaczej przypadłyby rabinowi z Stadlau.

Zaniepokoiły go z drugiej strony wieści, otrzymane ze Lwowa, że centralny komitet krajowy wyborczy skłania się do zatwierdzenia kandydatury rabina dr. Flocha, jako postawionej ze strony miejskiego komitetu wyborczego. Wprawdzie hr. Młodzieński, który właściwie był kandydatem zachowczo-szlacheckim i którego łączyły pokrewieństwo i przyjaźń z kilkoma członkami komitetu centralnego, mógł na pewno liczyć także na poparcie z tej strony, mimo to urzędowa równorzędność obydwóch kandydatur mogła w pewnym kierunku szkodzić hrabiemu.

Niesamowity wystąpił w „Kukułce”, chcąc wywrzeć wpływ na komitet centralny, z artykułem siarczystym przeciwko „cudzoziemcowi zuchwałemu, który, nie znając wcale ani języka krajowego, ani kraju, ubiega się z niebывałą beczelnością o mandat poselski u nas”. Takiego kandydata komitet centralny zatwierdzić nie może pod żadnym warunkiem. Kandydat komitetu centralnego obowiązany jest wstąpić do Koła polskiego. Rabin dr. Floch zapowiada to. W jakim języku będzie przemawiał w Kole? Jużci po niemiecku, gdyż nie umie słowa po polsku. Skandal nad skandale... germanizacja Koła polskiego...

Końcowy ustęp tego „Protestu wyborców chrześcijańskich” brzmiał:

„Już teraz tłumy wyborców chrześcijańskich, których bożyszczem jest August hr. Młodzieński, zaniepokojone, wzburzone do najwyższego. Zatwierdzenie kandydatury obcego przybłądy z nad brzegów Dunaju ze strony komitetu centralnego oznaczałoby nieszczęście — katastrofę. Chrześcijańscy wyborcy przygotowują się do samoobrony. Wysłali bowiem do dr. Luegera, prezydenta miasta Wiednia i przywódcy stronnictwa antysemitycznego, telegraficzne zaproszenie, żeby raczył przybyć do Kołomyi i ratować chrześcijan przed inwazją obco-krajowego rabina. Dr. Lueger przyrzekł przybyć. Będą się mieli żydzi i ci, co ich popierają, spyszna”.

Artykuł „Kukułki” sprawił ogólnie wielkie wrażenie. Kołomyję zelektryzował doniesieniem o przybyciu dr. Luegera, zaś na zewnątrz, przedrukowany przez lwowskie i krakowskie dzienniki, które także zwróciły się przeciw „obcemu intruzowi”, wywarł także wpływ niemały tak, że komitet centralny, wbrew regule, uchwalił nie zatwierdzić kandydata komitetu kołomyjskiego miejskiego ze względu, iż jest cudzoziemcem, nieznającym ani kraju, ani języków krajowych, pozostawiając natomiast wyborcom miast Kołomyja-Śniatyn-Buczacz dowolność wyboru pomiędzy hr. Młodzieńskim, a dr. Turteltaubem, jako „kandydatami krajowymi”.

Wieść o Luegerze przeraziła nie tylko żydów kołomyjskich, lecz także wiedeńską prasę liberalną, do której dostała się z dzienników polskich, W „...blattach” i „...zeitungach” posypały się nawet artykuły wstępne o szerzeniu się antysemityzmu jak morowej zarazy, sięgającego najwschodniejszych kończyn monarchii. Rozumie się, iż rabin w Stadlau, czytając to, zaniepokoił się strasznie, postanawiając bezzwłocznie przedsięwziąć podróż do Kołomyi. Zaopatrzwszy się w zupełny strój żydowski, by po drodze przebrać się i jako chasyd stanąć przed wyborcami „pobożnymi”, spakował go do osobnego kuferka i wyjechał, zawiadamiając Joję telegraficznie, że w piątek zrana przybędzie do Kołomyi.

Niesamowity dumny był ze skutku, jaki artykuł jego wywarł. Otrzymałszy od burmistrza Aspana wiadomość o uchwale komitetu centralnego, wszedł w rynek na dryndę żydowską, udając się z dobrą nowiną do Oleksiniec, odległych pół mili drogi. Było mu spieszo z innej jeszcze przyczyny. Żydzi, widząc w nim niebezpiecznego wroga, zaczęli go prześladować weksłami, których po zaplaceniu Gitli Knofeldtowej było w obiegu jeszcze kilka, opiewających razem na sumę mniej więcej tysiąc koron. Joję skupił je wszystkie. Ponieważ były już płatne, zaskarżył je. Tym sposobem zawisł nad głową redaktora miecz grabieży sądowej.

(Ciąg dalszy nastąpi).